Nr. 40 Rok 4 Kraków, dnia 3 października 1943. 40 gr.

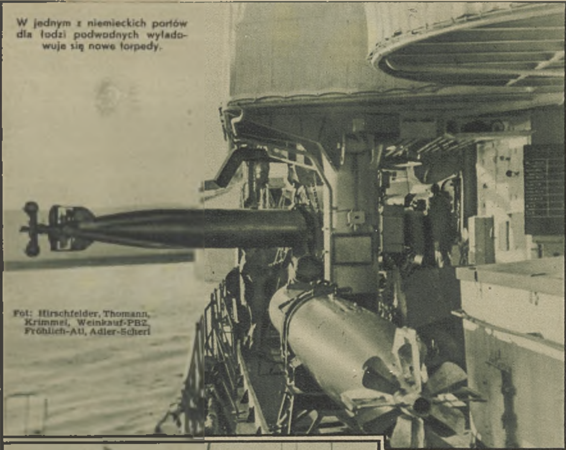
Il owany
RJER POLSKI



„K O M E S"

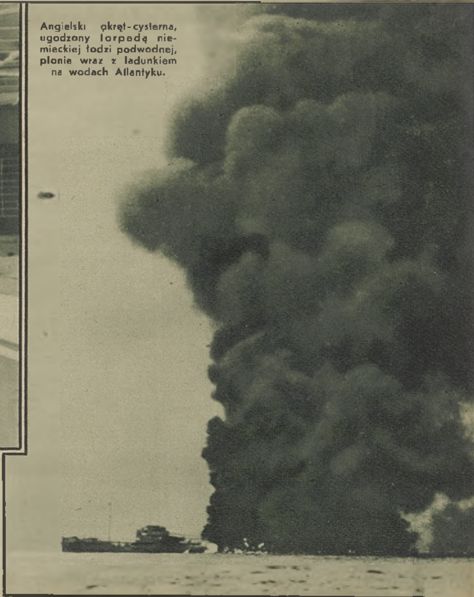
DO NASZEGO REPORTAŻU NA OSTATNIEJ STRONIE

WOJNA NA MORZU



W jednym z niemieckich portów dla łodzi podwodnych wyładowuje się nowe torpedy.

Fot: Hirschfelder, Thomann, Krimmel, Weinkauf-PBZ, Fröhlich-Atl, Adler-Scherl



Angielski okręt-cysterna, ugodzony torpedą niemieckiej łodzi podwodnej, płonie wraz z ładunkiem na wodach Atlantyku.



Niemiecki konwój wjeżdża do portu, pod ochroną balonów zaporowych.



Niemieckie łodzie pościgowe na północnym Atlantyku.



Obrona przeciwlotnicza, niemieckiego okrętu wojennego, na wodach północnego Atlantyku.



Lotnicy niemieckiej marynarki w porcie.



MARSZAŁEK WŁOCH

Na lewo:

W nowym faszystowsko-republikańskim państwie włoskim marszałek Graziani został mianowany ministrem obrony narodowej. W czasie swej wojskowej kariery wyróżnił się on wielokrotnie w operacjach wojennych na terenie Afryki.

Na prawo:

WŁOSKA ARTYLERIA GÓRSKA

Wojska włoskie, które opowiedziały się za państwem faszystowsko - republikańskim zgłosiły się do walki z wrogiem, po upadku znienawidzonego rządu Badoglia.





Na lewo:

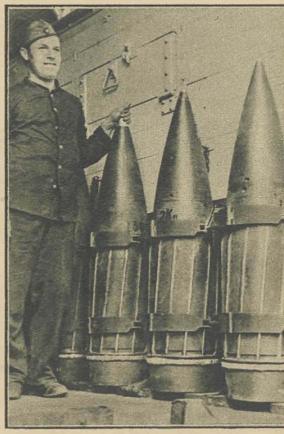
NOWOMIANOWANY BUŁGARSKI MINISTER SPRAW ZAGRANICZNYCH

Minister spraw zagranicznych Kyroff (w środku) rozmawia z regentem Filoffem i generałem Michoffem.

CIĘŻKIE DZIAŁA NAD JEZIOREM ŁADOGA

Niemieckie działa walczą na północnym odcinku frontu wschodniego. Na prawo: Kilka olbrzymich granatów, przeznaczonych do obrzucania nieprzyjacielskich obiektów. Granaty te wystrzela się z granatników o długich lufach. U dołu: Działo w chwili wystrzału.

Fot: Freckmann-Atl. 2, Schwickhum-TO-EP. PBZ, Transozean





FRAGMENTY HISZPAŃSKIEJ SCENY



REWIA

Publiczność hiszpańska ceni nie tylko sztukę dramatyczną postawioną na wysokim poziomie, lecz z przyjemnością daje się również oczarować wspaniale wystawioną rewią. Na prawo scena z „Wiedeńskiej rewii" w Madrycie.





PEŁNA HUMORU SATYRA

Balet pt. „Romantyczne czasy" z wdziękiem dworuje sobie z sentymentalności dawnych czasów.

Na prawo:

KOMEDIA

Jedna ze scen „Przeklętego studenta z Marguiny", komedii, która zdobyła sobie ogromny sukces w madryckim Teatrze Narodowym.



Fot: Vallmitjana (Witzleben i Peters)



DRAMAT HISTORYCZNY

Podobnie jak w komedii, również w dramacie i tragedii odznacza się hiszpański aktor wielkim talentem mimicznym. Powyżej i na lewo widzimy dwie sceny ze sztuki „Szczytowa ozdoba ołtarza Maese Pedro", napisanej przez znanego autora Falla, i cieszącej się dużym uznaniem w teatrze „Maria Guerrero" w Madrycie.

Na prawo:

NIEŚMIERTELNY SANSZO PANSA

Od czasu, gdy Cerwantes około roku 1600 wzbogacił literaturę światową, Don Kiszotem, jedną z epokowych powieści, bohaterowie tej książki wciąż są powoływani do życia przez malarzy, rzeźbiarzy i pisarzy utworów scenicznych. Między innymi Gustaw Dore świetnie uzmysłowił w swych ilustracjach „Rycerza posępnego oblicza", jego wiernego giermka Sanszo Pansę i Dulcineę z Tobozo, tworząc z nich typy bezkonkurencyjne do wszelkich późniejszych reprodukcji. Również i wielki aktor Arbos wziął sobie rysunek Doré'a za wzór dla swej charakteryzacji, gdy wystąpił w roli Sanszo Pansy w komedii Dulcinea.





Powyżej:

KOCHANKOWIE

Blanca des Silos i Pepe Seoane w jednej ze scen komedii: „Przeklęty student z Marguiny".

Na lewo:

AUTOR AKTOREM

Bardzo często w hiszpańskim teatrze zyskuje jakiś utwór specjalny powab przez grę samego autora. Tu np. znany poeta Jacinto Benavente gra rolę dziadka w swej sztuce pt. „Dziadek i wnuk", wystawionej w teatrze „Maria Guarrero" w Madrycie.



Na prawo:

DULCINEA Z TOBOZO

„Dulcinea" napisana przez Humberta Peraz de la Osa należy od czasu swego pierwszego wystawienia do sztuk przebojowych we współczesnym hiszpańskim teatrze. Rolę tytułową kreowała Anita Mariscal należąca do największych gwiazd aktorskich nie tylko sceny ale i filmu.



W Sypialni Nietoperzy





Fot: Witzleben i Peters



W jesieni, kiedy promienie słońca przygrzewają słabiej i cała przyroda przygotowuje się na przyjęcie zimy, wiele zwierząt zapada w sen zimowy.

Również i nietoperze, które podczas ciepłych wieczorów letnich niezmużenie latały i polowały na owady, teraz kryją się po jaskiniach, rozpadlinach skał, w starych opuszczonych ruinach lub po wieżach i strychach szukają schronienia. Najpierw jeszcze odbywają swe gody weselne, ale skoro tylko przeminą „miodowe tygodnie", nastaje dla nich czas zimowego spoczynku

W najciemniejszych i najbardziej ukrytych zakamarkach gromadzą się nietoperze, by zasnąć niezwykle twardym snem zimowym. Uczepiwszy się palcami nóg tylnych o jakiś przedmiot wystający, belkę, pułap lub nierówności w skale, zwijają skrzydła jak płaszcz nad głową i zwieszają tułów wraz z głową na dół, spędzając tak czas w uśpieniu przez całą zimę.

Kto chce zobaczyć śpiące nietoperze, musi najczęściej z wielkim trudem drapać się przez gruzy i kamienie, przez nadgniłe belki lub przymarzłe kałuże, zanim dotrze do miejsca, gdzie śpią zimowym snem nietoperze. Nie szkodzą im całkiem mrozy szalejące na świecie, gdyż nietoperz wytrzymuje lekko temperaturę kilku stopni poniżej zera. Jeżeli natrafimy wreszcie na miejsce, gdzie zimują nietoperze, widzimy setki nietoperzy wiszących jeden obok drugiego (zdjęcie u góry). Wyglądają jak dziwne, wysuszone owoce, wyrosłe na kamieniach i cegłach starych budynków. Wśród nich obserwujemy młodą parę małżeńską, która zawiesiła się nieco na uboczu (na prawo w kole); a tu obok jakiś samotnik wisi na jednej ze ścian i śni o wiośnie (zdjęcie w środku). Niekiedy światło magnezji, przy pomocy którego dokonuje się zdjęć fotograficznych, zbudzi tego lub owego nietoperza. Napół zdziwiony, a napół zagniewany spogląda wtedy na obcego intruza. Lecz niebawem znów zapada w sen.

W kwietniu, gdy powietrze już się nieco ociepli, gdy wiosna wyczaruje pierwszą zieleń z ziemi i gdy pierwsze ciepłe podmuchy wiatrów dotrą do jaskini nietoperzy, budzą się one ze snu zimowego. I znów przez całe lato można widzieć jak uganiają wieczorami nieme i trzepoczące się pod ciemnym niebem i tu i tam.







KROKODYLE

— Obiad! Obiad! Dzieci obiad! — klaskała w dłonie ciocia Tunia w progu pokoju.

Bona, panna Lili, poruszyła się niespokojnie na fotelu.

Była to młodziutka osoba, z utlenionymi włosami, ułożonymi na głowie w kształcie wroniego gniazda, i z podejrzanie czarnymi brwiami.

— Wymalowany koczkodon — spluwał za nią stary ogrodnik, gdy spotykał ją z dziećmi w lipowej alei.

Przesadzał. Ot stary zrzęda nie znający się na obecnych modach. Wprawdzie panna Lili nie była pięknością, ale też i brzydszą nie była od setek i tysięcy podobnych do niej młodych „wymalowanych koczkodonów".

— Ach mój Boże! — wykrzyknęła, odkładając na stół swą szydełkową robotę — Już obiad. Muszę się ogarnąć, przyczesać... Dzieciom też trzeba by ręce pomyć! Poczekajcie...

Ale dzieci nie chciały czekać. Troje było tego drobiazgu. Zerwały się z dywanu, na którym miały porozstawiane zabawki — lalki, zwierzaki, żołnierzyki — rzuciły się do drzwi i popychając się za ramiona, pobiegły korytarzem w stronę jadalni.

— Ja pierwszy! Ja pierwszy! — triumfował sześcioletni Zbyszek, otwierając z hukiem drzwi stołowego pokoju.

Pan Jan już tam był, więc dzieci obstąpiły ojca z okrzykami radości.

— Tatuś! Tatuś! Nasz tatuś! — wrzeszczały, skacząc wokoło niego na jednej nodze.

Ten tatuś był ich bogiem.

Nic dziwnego. Mało kto mógł się pochwalić równie wesołym i eleganckim tatusiem. Wyglądał zawsze jak z igły zdjęty. A uśmiech miał czarujący. Gdzież porównać do tego wiecznie zakatarzonego ojca Wojtka i Staszka, lub do zapracowanego i odzianego jak chłop tatusia Irenki. Wysoki, przystojny mężczyzna miał duże powodzenie u kobiet, lecz z nonszalancją wielkiego pana, zamożnego obywatela ziemskiego, przyjmował te hołdy i niczem nie dawał poznać po sobie jak bardzo pochlebiają jego próżności.

— Tatuś, Tatuś! Nasz tatuś!

— Precz szarańcza — opędzał się od dzieci chusteczką z udanym gniewem, potem chwytał je kolejno za rączki i porywał w powietrze w szalonym młynku.

— Ajajaj! Ajajaj! — piszczały dzieciaki.

Wiewały złociste loki, niebieskie fartuszki i cienkie rasowe nóżki bachorów.

— Cóż za wesoły dom — chichotała w kułak stojąca przy bufecie pokojówka Walerka.

— No dosyć już tej zabawy. Siadajcie do stołu. Zupa stygnie — napomniała ciocia Tunia.

Ale dzieciom nigdy nie było dosyć.

— Jeszcze! Jeszcze! — wrzeszczały, wyciągając rączki do ojca.

Ale tatuś miał już stanowczo dosyć. Przygładził dłonią swe dobrze przyczesane włosy, zapalił papierosa, podszedł do bufetu i nalał sobie spory kieliszek wódki.

Przez chwilę oglądał ten napój pod światło i zwrócił się do wchodzącej bony.

— A panna Lili? Może by też łyknęła coś niecoś...

— Serdecznie dziękuję — zachichotała. — Ja wódki nigdy nie piję.

— Szkoda! Wielka szkoda! Dobrze to robi na humor i cerę...

I wypił jednym haustem nalany przed chwilą kieliszek.

— Za zdrowie panny Lili — uśmiechnął się łobuzersko.

Najstarsza z dzieci — ośmioletnia Zaza — prześliczna jasnowłosa dziewczynka, czule objęła ojca wpół.

— Tak strasznie tatusia kocham — szeptała, przyciskając policzek do rękawa jego marynarki.

I spytała po chwili:

— A co tatuś tu ma, w tej tylnej kieszeni u spodni? Co tam jest takiego twardego?

— Nie rusz! To jest rewolwer.

— Pokazać! Pokazać! Niechżeż tatuś pokaże — napierał się Zbyszek.

— Ejże. Czy to potrzebne?

— Potrzebne, potrzebne — upierał się malec.

— No to masz. Popatrz sobie, ale z daleka. Dotykać tego nie wolno.

— Dlaczego nie wolno?

— Bo może wystrzelić.

— A jak się robi taki rewolwer?

— Zwyczajnie, mój panie pytalski. Ot bierze się dziurę, oblewa żelazem i gotowe.

— A na co ten rewolwer tatusiowi potrzebny?

— Żeby się opędzać od krokodyli.

— A gdzież one są?

— Za groblą, pod mostkiem. Siedzą tam przyczajone i czyhają na ludzi.

— I pożerają?

— Pożerają. Wczoraj na mnie napadły, a wyglądały strasznie. Sto zębów w paszczękach i ostrych jak u piły. Płetwy rozczapierzone niczem wronie skrzydła, brzuchy ogromne, wzdęte. Więc ja do jednego „pif" do drugiego „paf"...

Ciocia Tunia, z pewną desaprobatą, zwróciła się w stronę opowiadającego i rzekła:

— Ależ Jasiu! Nie pleć bez sensu i nie nabijaj dzieciom głowy głupstwami, później spać nie mogą po nocach, więc siadaj lepiej do stołu. Rosół będzie całkiem zimny.

LIST

W połowie obiadu Walerka wniosła na tacy sporą paczkę gazet i listów.

— Czy to poczta — odezwała się panna Lili ni w pięć, ni w dziewięć.

— Nie. Czekoladki — zakpił tatuś, a dzieciaki parsknęły śmiechem. Wszystko co tatuś robił i mówił wydawało się im niesłychanie zabawne.

Bona poczerwieniała, a tatuś spytał się Walerki:

— Czy nie wiesz dlaczego ten szelma Antek tak długo marudził w miasteczku?

— Powiadał, że gorzelany kazał mu czekać w aptece na jedno lekarstwo.

— Psiakrew! A ja tu wyglądam gazet już od godziny.

— Lekarstwo też potrzebne...

Ale tatuś już nie słuchał. Pochylił się nad papierami. Segregował je.

Odkładał na bok listy z firmami i gazety. Czytał adresy.

Po chwili cisnął przez stół, w stronę cioci Tuni, dużą elegancką liliową kopertę.

— Ot i znowu ona coś pisze do ciebie — zauważył, ściągając brwi z niezadowoleniem. — Na tamtym świecie bym poznał to pismo i te perfumy... A mdłe.

Pociągnął nosem i skrzywił się.

— Dziwne! Nigdy nie byłyście ze sobą w przyjaźni, a teraz te ciągłe listy. Te jakieś konszachty poza mymi plecami...

I nerwowymi ruchami zaczął rozdzierać koperty swoich listów.

Nudny obiad. Dzieci wyczekująco wpatrywały się w ojca. Spodziewały się jakichś figlów, jakichś żarcików, lecz czytał swą korespondencję w skupieniu.

Po dłuższym czasie walnął pięścią w rozłożony na obrusie papier i mruknął:

— Adwokat bierze mnie chyba za krowę, tak mnie doi. Końca nie widać. Złodziej znowu żąda pieniędzy. Kosztowna zabawa ten rozwód.

— Uważaj Jasiu! Dzieci słuchają — napomniała ciocia Tunia.

Wzruszył ramionami.

— Ot wielkie rzeczy! Niech słuchają. Wcześniej czy później muszą się dowiedzieć. Takiej zmiany w życiu nie ukryje się na długo.

I spytał:

— A cóż ona tam pisze do ciebie, jeżeli wolno wiedzieć?

— Ależ wolno — uśmiechnęła się Tunia. — Nic specjalnego. Chcesz to przeczytaj. Sekretów tam nie ma.

Podała mu list, lecz odtrącił jej rękę.

— Ani myślę czytać. Po co mam się irytować. Znam aż za dobrze ten pompatyczny styl, te frazesy. Zapewne udaje, że się niepokoi o dzieci.

— Dlaczego mówisz „udaje". Ona naprawdę niepokoi się o nie. Matka nie tak łatwo zapomina o swoich dzieciach...

Roześmiał się sarkastycznie.

— Ach dajżeż mi spokój z tą matką! Matka, matka, a ta matka jak tylko sobie gacha znalazła, to się na dzieci nie oglądała.

— Jasiu! Bój się Boga!

I ciocia Tunia z gorączkowym pośpiechem zwróciła się do Zazy.

— Mamusia bardzo się dopytuje o wasze zdrowie i humory. Chce o was wszystkich wiedzieć. Stęskniła się za wami, lecz ma nadzieję, że wkrótce was zobaczy.

— Czy tutaj przyjedzie? — wyrwał się Zbyszek z zapytaniem.

— No nie. Tutaj nie przyjedzie, ale chce was do Warszawy sprowadzić, jak tylko tam będzie. A tymczasem prosi Zazy, żeby do niej napisała.

Dziewczynka poczerwieniała po białka oczów i spode łba zerknęła na ojca. Dużo już rozumiała i instynktownie solidaryzowała się z tatusiem, więc oczekiwała na jego zdanie w tej kwestii.

— Nie potrzeba — burknął pod nosem i z najmilszym uśmiechem zwrócił się do bony:

— Biedna, biedna panna Lili — żartował. — Nie było do niej listu. Zapomniana, opuszczona, nieszczęśliwa. Ja zawsze mówiłem i powtarzam, że ten jej narzeczony to jest bałamut spod ciemnej gwiazdy. Kręciarz, uwodziciel...

I zanucił półgłosem:

„Pójdę w świat szukać sobie innej
dziewczynki niewinnej..."

— Niechżeż pan mnie tak nie wyśmiewa, nie prześladuje — chichotała bona z udanym gniewem.

Pochylona nad stołem podawała do rozdziawionych usteczek małej Goli kopiasto nałożony buraczkami widelec.

— Nie marudź tak. Nie marudź — przypilała dziecko.

Zdążyła zmienić bluzkę do obiadu. Króciutkie rękawy i głębokie wycięcie u szyi niestosowne były w zimie.

— Na kogóż ten zamach — dopytywał się tatuś, wskazując palcem na jej obnażone ramiona, a dzieci, wpatrzone w ojca jak w obraz, wybuchnęły śmiechem.

Nie bardzo rozumiały o co chodzi, lecz od razu pomiarkowały, że tatuś figluje.

Figlował.

Po chwili zaczął wystukiwać na swym talerzu jakiegoś skocznego marsza, a dzieci momentalnie zaczęły walić widelcami i łyżeczkami w co popadło.

Brzęk, stukot, hałas, piekło.

Ciocia Tunia zatkała sobie uszy.

Po koniec obiadu Zaza, która siedziała przy ojcu, wspięła się na paluszki i coś mu na ucho szepnęła.

Wyglądał zaskoczony. Widoczne było, że nie wie co odpowiedzieć, lecz nie na długo stracił kontenans. Po chwili poklepał swą ukochaną córeczkę po policzku, odgarnął dłonią jasne loki z uszów dziewczynki i odpowiedział jej również szeptem.

— Nie może być — klasnęła w rączki.

No i chichotali i szeptali ze sobą dosyć długo.

NIETOPERZ

Po obiedzie tatuś nałożył na siebie futro, rozkazał Zbyszkowi poszukać swej karakułowej czapki pod krzesłami w przedpokoju i spytał się bony:

— A panna Lili, czy nie wybiera się dzisiaj z dziećmi na spacer?

— Nie — odpowiedziała ciocia Tunia za bonę. — Dzieci dzisiaj nie wyjdą.

— Dlaczego — obruszyła się panna Lili.

— Bo są zakatarzone, a śnieg pada. Wilgoć, zimno i wicher głowę urywa.

Bona skrzywiła się.

— Pani to zawsze... Ale ja się przejdę — rzekła. — Nie mogę siedzieć wiecznie przy dzieciach jak w kryminale. Potrzebuję powietrza, ruchu. Głowa mnie boli. Idę po okrycie.

Ale tatuś już na nią nie czekał. Zagwizdał przez zęby i wyszedł na podwórze, a dzieci powróciły do swego pokoju.

— A taką miałem ochotę pójść z tatusiem do stajni — westchnął Zbyszek.

W pokoju był nieład ogromny. Wszystko porozrzucane na prawo i lewo. Skłębione, poprzewracane. Nastrzyżone papierki czepiały się obuwia. Za parawanem brudna woda po rannej dziecięcej toalecie jeszcze nie była wylana z miednicy. Mokre ręczniki walały się po podłodze. Majteczki małej Goli wisiały na klamce...

— Ależ ta bona niechlujna — pomyślała ciocia Tunia — Walerkę też należałoby dobrze nabesztać...

I zwróciła się do dzieci.

— No dzieci bawcie się tutaj grzecznie. Idę do gospodarstwa, ale wkrótce przyślę wam pokojówkę. Pobędzie z wami dopóki panna Lili nie wróci.

I wyszła z pokoju.

Natychmiast Zaza i Gola zaczęły rozbierać swoje lalki i zabrały się do kąpania ich w miednicy. Wlazły za parawan i z piskiem pławiły je w brudnej wodzie.

— Patrzaj, patrzaj — cieszyła się Gola. — Włoski mojej lalusi całkiem odlazły, ale je śliną przylepię.

I skarżyła się, że Zaza za bardzo ją ochlapuje.

— Mydło mnie w oczy śmierdzi.

— Nie śmierdzi, a gryzie — roześmiała się Zaza.

A Zbyszek dosiadł swego drewnianego Kubusia.

— Hołup, hołup, hołup — walił biegunami z rozmachem o deski podłogi.

Był zamyślony.

Potrząsał pukłem włosów, który co chwila opadał mu na oczy i kiwał się zapamiętale w tę i w tamtą, w tę i w tamtą.

Ale jak tylko Walerka drzwi otworzyła i weszła do dziecinnego pokoju zeskoczył z konia i rzucił się do niej.

— Walerciu, Walerciu — czepił się jej rękawa. — Ty jesteś taka mądra, taka śliczna, taka dobra.

— No, to czego chcesz?

— Chcę, żebyś mi powiedziała co to znaczy „gach"?

— A idźżeż, idźżeż smarkaczu. Odczep się ode mnie, bo podrzesz kaftanik. Zawdy mu głupstwa w głowie. Też wymyślił. „Gach" to jest taki sam uprzykrzony bęcwał jak ty.

— Nieprawda — odezwała się Zara spoza parawanu. — Ja się już tatusia przy obiedzie pytałam. „Gach" to jest nietoperz.

— Nietoperz — rozdziawił Zbyszek usta w zdumieniu.

— A tak. Nie-to-perz — powtórzyła z naciskiem dziewczynka, wychodząc spoza parawanu. — Tatuś mi powiedział, że elegacki nazywa się „gacek", a ordynarny „gach".

— Więc ten mamusin jest ordynarny?

— Podobno.

— A czy umie służyć?

— Co służyć? Komu służyć?

— No... tego... na dwóch łapkach. Pytam się ciebie, czy ten mamusin gach jest obłaskawiony?

— Nie wiem. Skąd mam wiedzieć? Przecież go nigdy nie widziałam.

— A gdzie go mamusia trzyma?

— Zapewne w pudełeczku.

— A na co on mamusi potrzebny?

— Pojęcia nie mam. Spytaj się tatusia.

SZARA GODZINA

Ściemniło się.

Gęsty śnieg sypał przez cały ranek. Puszyście rozesłany na dziedzińcu, przed domem, nabierał teraz, z zapadającym zmrokiem, głębokiej barwy ultramaryny.

Niebiesko. Niebiesko.

W dziecinnym pokoju, pomimo dubeltowych okien, dobrze zaopatrzonych na zimę wałkami z brudnej waty, słychać było trzaskania z bata i ochrypły głos Antka, chłopca stajennego.

— A gdzie, a gdzie ścierwa — irytował się, wymachując biczyskiem nad głową.

To źrebaki pędzone do wodopoju wyłamały się spoza sztachety i przez niedomkniętą bramę wjazdową wpadły na dziedziniec. Galopując w tę i w tamtą stronę po tym nieskazitelnie białym kobiercu rysowały nań kopytami fantastyczne esy-floresy i arabeski. Całe girlandy kwiatowe.

Dzieci, zbite w kupkę przy oknie, ścigały zachwyconym wzrokiem rozwiane grzywy i zadarte ogony stadniny.

Oświecone błękitnymi refleksami dogasającego grudniowego dnia wyglądały jak zjawy. Jak królewiątka z bajki.

— Patataj! Patataj! — klaskała w rączki czteroletnia Gola.

Krótka chwila radości.

Było. Nie ma.

Stadnina znikła, lecz dzieci pozostały przy oknie. Mroki pokoju, ścieląc się poza ich plecami, napełniały je przerażeniem. A nuż tam coś siedzi w kącie za komodą.

Nawet wahadło ściennego zegara, które zwykle stukało raźno, teraz zdawało się jakby czegoś wystraszone, więc coraz prędzej i głośniej wybijało swe monotonne tik-tak.

— Dlaczego ta Walerka nie przynosi nam lampy — westchnęła Zaza i coś jakby zadawniony szloch wydarł się z jej gardziołka.

Ten szloch przypomniał Zbyszkowi zaszłe przed niedawna ewenementy, gdyż zaczął bezmyślnie powtarzać:

— Pojechali, pojechali, pojechali...

Zaza trąciła go łokciem.

— Siedź cicho — wrzasnęła. — Nie powtarzaj tak ciągle „pojechali", „pojechali" bo mi głowa pęka.

Jako najstarsza uważała, że ma prawo, a nawet obowiązek szturmburowania młodszym rodzeństwem.

Ale Zbyszek upierał się.

— Pojechali, pojechali — powtarzał w kółko i dodał po chwili:

— Pojechali, pojechali, a ciebie nie wzięli.

Zaza pokazała mu język.

— I ciebie też nie wzięli, bałwanie!

— Ale ja się nie napierałem. Ja sam nie chciałem jechać — stawiał się malec.

— Nie łżyj — tupnęła dziewczynka nogą ze złością. — Chciałeś, chciałeś, chciałeś...

Weszła ciocia Tunia.

Odziana w krótki góralski kożuszek i w buty z cholewami wyglądała jak baba ze wsi. Powracała z obory.

Odmotała włóczkowy szalik okręcony wokoło szyi i rzekła:

— Cóż to takiego? Dlaczego tutaj takie ciemności? Dlaczego się kłócicie?

— A bo Zaza tak się rozbija, taka niegrzeczna — rzucił się do niej Zbyszek ze skargą.

Przytuliła go do siebie.

— No dobrze już, dobrze — głaskała go po główce i uważnie rozejrzała się po pokoju.

— A gdzież panna Lili? — spytała.

— Tatuś zabrał ją ze sobą sankami.

— Gdzie? Po co?

— Nie wiem. Skąd mam wiedzieć? Może pojechali na folwarki, a może do lasu — odpowiedziała Zaza i kryjąc nos w firankę znowu zaczęła płakać.

Czuła się bardzo, bardzo nieszczęśliwa. Jak dotąd ona zwykle towarzyszyła ojcu i takie przejażdżki z tatusiem napełniały ją dumą i szczęściem.

— Umm! Umm! Ot i znowu się mazgai — przedrzeźniał siostrę Zbyszek.

I naprzykrzał się.

— Ciociu, ciociu! Ja bym chciał pójść z ciocią na rodzynki do śpiżarni.

Ale ciocia Tunia, zniecierpliwionym gestem, odsunęła malca od siebie, podeszła do okna i z czołem wspartym o zimną szybę stała tak w zamyśleniu.

Ciężkie kroki Walerki dały się słyszeć z korytarza i wkrótce zjawiła się w drzwiach z zapaloną lampą w ręku.

Ciocia Tunia odwróciła się do niej.

— Dlaczego tak marudziłaś z tym światłem?

— Bo nafty nie było.

— Była. To są wykręty. W południe sama ją wydzielałam. Nie można tak dzieci zostawiać w ciemnościach. Boją się.

— Ja tam nie gubernantka — wzruszyła ramionami dziewczyna.

I stawiając lampę na stole, skierowała się do drzwi.

— Czy poprasowałaś bieliznę dla dzieci?

— A kiedyż miałam ją poprasować?

— Po południu, jak zwykle.

— A juści. Na poły się nie ozedrę. Bez całuchne popołudnie musiałam cerować pończochy dla panny Lili. Dziury w piętach, co aż wstyd.

— Przecież sama może to robić!

— Może, ale nie chce. Woli, żeby kto jeńszy za nią harował...

Ale ciocia Tunia już nie słuchała. Dzwoniąc pękiem kluczy zatkniętym za pas, zakręciła się na pięcie i wypadła z pokoju. Zawsze miała nawał roboty.

— Już sama nie wiem kogo mam się słuchać w tym dworze — mamrotała Walerka pod nosem, zbierając z podłogi porozrzucane zabawki i skrawki papieru. — Jakby tu była wasza mamusia, to bym wiedziała, że jest w domu jaśnie pani, a tak to niewiadomo co? Każden rad się rządzi. Bona swoje wykrzykuje, a wasza ciocia swoje. Jedna każe cerować, a druga prasować, więc kogóż mam słuchać? Już też ta wasza ciocia Tunia za bardzo się tutaj rozbija. Ot wielga pani.

— A właśnie, że jest wielką panią — obruszyła się Zaza. — Ciocia Tunia kiedyś tam, przed laty, miała przepiękny pałac na Podolu na trzy piętra wysoki. Miała ogromne pola, łąki, lasy, fabryki i była bardzo bogata.

Walerka wzruszyła ramionami.

— Jo tam tych bogactw nie widziałam, a ludzie tutejsi co jeńszego powiadają.

— Co powiadają?

— Powiadają, że ona o jednej kiecuchnie do dworu przyjechała.

— Bo bolszewicy zabrali jej wszystko i ledwie z życiem uciekła.

— O jej! Łacno opowiadać

KOPCE DLA KRETÓW

— A co będzie dzisiaj na kolację — dopytywała się pokojówki mała Gola.

Kolację jadły dzieci u siebie w pokoju.

— A cóż ma być? — odpowiedziała kwaśno dziewczyna. — Kaszka na mleku jak zwykle.

Dziecko skrzywiło się.

— Nie lubię tasty! Nie lubię, nie lubię.

— Akurat! Ot grymaśnica! Żeby was kto chciał słuchać to by mu głowa spuchła. Majonezów ci się zachciewa, a może ptasiego mleka — pokpiwała Walerka i z wielkim hałasem i brzękiem porcelany zaczęła znosić i ustawiać na stole potrzebne naczynia.

— No a tera siadajta bachory i żrejta — mówiła, rozlewając na talerze nie lubianą potrawę i z pustym rondelkiem w garści skierowała się do drzwi.

Gola spojrzała na nią błagalnie.

— Nie odchodź od nas Walerciu! Nie odchodź, nie odchodź — prosiła, wyciągając do niej rączki. — Nie odchodź, a pobaw się z nami.

Walerka wzruszyła ramionami.

— Nie naprzykrzaj się — burknęła. — Ot głupia! Jo tam nie od zabawy jezdem, jeno od sprzątania brudów po was.

— A Tereska, ta co była za pokojówkę przed tobą, to zawsze się z nami bawiła — wtrąciła Zaza. — Taka była miła, śliczna i dobra dziewczyna. Wszyscyśmy ją kochali. Ona szyła sukienki dla naszych lalek, ubierała je i dogadzała nam jak tylko mogła.

— A szczególniej twemu tatusiowi dogadzała. Ale jo nie głupia. Mało się to ona tera napłacze, namartwi i wstydu nałyka. Jaże trudno ją poznać. Wygląda jak nieboskie stworzenie.

— Dlaczego?

— A no wyszła ze szpitala wymizerowana jak ten Łazarz, a dziecko też słabowite.

— Jakie dziecko?

— A te co jej bocian do szpitala przyniosł.

I mamrotała pod nosem.

— Skaranie boskie doprawdy! Zgorszenie na całą parafię. Jaśnie pan dziedzic, to już sam nie wie co wyrabia. Chichy, śmiechy, żarciki, a tu taką krzywdę zrobił biednej dziewczynie.

— Jaką krzywdę? — zdziwiła się Zaza.

— A taką! Ale co będę gadała... Dowiesz się kiedyś. Jo, na miejscu Tereski, to bym pana dziedzica po sądach taskała, chwilki spokoju nie dała.

Ale Zaza miała już tego dosyć. Poczerwieniała, jak burak, i wrzasnęła:

— Siedź cicho! Rozumiesz. Zabraniam ci wygadywać na tatusia.

— Co się tu stawiasz? A właśnie będę! Na złość będę wygadywała! Nie ty, smarkała, będziesz mi tutaj rozkazywała, ani zabraniała.

I z furią trzaskając za sobą drzwiami wyszła na korytarz.

— O jaka zła — zauważył Zbyszek.

Dzieci zasiadły do stołu, a jadły bez apetytu.

— Anemiczne maleństwa — mówił o nich doktór z sąsiedniego miasteczka. — Trzeba by je zawieść gdzieś w góry. Tam by odżyły, nabrały kolorów i apetytu.

Po paru łykach Zbyszek zaczął wykapywać z łyżki na stół, przykryty wątpliwej czystości serwetą, spore kupki gęstej potrawy.

— Co robisz, brudasie? — obruszyła się Zaza.

— Kopczyki dla kretów.

— No, kopce dla kretów, to co innego. Gdzieżby spali, gdyby nie mieli kopców.

Zaza zainteresowała się tą czynnością.

Dalszy ciąg nastąpi

Ilustrowany Kurier Polski — Krakau, Redakcja: ul. Piłsudskiego 19 tel. 213-93 — Wydawnictwo: Wielopole 1 tel. 135-60 — Pocztowe Konto Czekowe: Warschau Nr. 900

Jaka to miłość?

P. J. Brożkiewicz

Pewnego czerwcowego pogodnego dnia odpoczywałem wraz z moim młodym przyjacielem po całodziennych trudach na ławce w jakiejś bocznej, zacisznej alei parku. Park pławił się w całej pełni zieloności i rozkwitu. Konwalie, irysy i niezapominajki jaśniały czarującą obfitością swych barw, roznosząc po kuszących zaciszach upajającą woń lata. Chwila była już przedwieczorna a sklaniające się ku zachodowi słońce rzucało złote promienie na wysokie korony sędziwych drzew i świeżą zieleń trawnika, wywołując przepyszne, fałatowskie światłocienie.

W parku było prawie cicho, gdyż na tle poszumu starych olch i radosnego świergotu ptactwa wybijały się słabo, dalekie odgłosy miasta, pokrzykiwania bawiących się gdzieś dzieci i ciche stąpania przechodniów. Okoliczne ławki były przeważnie puste.

Chwila nastrajała marzycielsko, a spokój dnia letniego budził dziwne refleksje na temat spraw ziemskich ludzi, którzy lubią czasem bez powodu skakać sobie do oczu i kłuć się wzajemnie żądłem nienawiści, gdy świat jest tak piękny i jakby tylko do miłości stworzony.

Z zadumy obudziło mnie nagle pytanie, które rzucił mój towarzysz przed siebie w przestrzeń, półgłosem, jakby anonimowo, pytanie nieśmiałe, które nie zdziwiło mnie i nie popsuło nastroju chwili lecz przeciwnie obudziło ochotę do dyskusji:

— Czy miłość, w tej postaci, w jaką ją przyobleka uczucie ludzkie, bierze swój początek w sferze naszego ducha?

— Nie. Nie wierzę w ingerencję ducha w sprawie, którą uważam, za ziemską i czysto zmysłową — zaryzykowałem po chwili odpowiedź głosem przekonywującym, jakkolwiek zdawałem sobie równocześnie sprawę, że słuszność mojego poglądu na to zagadnienie trudno mi będzie uzasadnić.

— Jeżeli to „nie" jest twoim aksjomatem, w którym będziesz chciał przemycić jakąś filozoficzną mądrość o wadze dogmatu, a masz poniekąd ku temu prawo, boś — tu mówił z przekąsem i ironicznym uśmiechem ukazując szereg niezwykle zdrowych, śnieżnobiałych zębów — już kochał się szczęśliwie i nawet ożeniłeś się i masz ku temu pewne doświadczenie, to proszę zechciej łaskawie uzasadnić to wyraźnie. Chętnie posłucham, a żałuję tylko, że w tym gaju Akademosa, nie będziesz miał, poza mną, żadnych słuchaczy.

W istocie. Poza nami i młodą parą, która usadowiła się na ławce w pewnej odległości od nas, w alei nie było nikogo. Właśnie mój wzrok zatrzymał się na moment na lepszej cząstce tej pary. Nieznajoma była naprawdę piękna. Miała smukłe, zgrabne kształty pełne kobiecego wdzięku. W postaci jej krył się urok powiewnej, dziewiczej świeżości. Buzię miała uroczą, cerę świeżą i młodzieńczą a włosy koloru złota. Była cudna jak sen nocy letniej.

Dopiero za chwilę przeniosłem z kolei swój wzrok na osobę mojego przyjaciela, który wydawał się mnie lekko podniecony. Spojrzałem na jego czarną, kędzierzawą czuprynę, zdobiącą wysokie, dosyć inteligentne czoło, jego przenikliwe, błyszczące młodością, duże, czarne oczy, i te nieco rozdęte nozdrza, które znamionują zaciętość i nieustępliwość w rozpoczętej już walce i powtórzyłem moje „credo", kładąc nacisk na każde słowo:

— Miłość rodzi się ze zmysłów i przez zmysły umiera, — a potem dodałem ciszej — zresztą ze zmysłów nie tylko miłość się rodzi. Są wprawdzie piękno-duchy, które twierdzą, — tak, jak zresztą przypuszczalnie i ty —, że t. zw. idealna miłość rodzi się wśród gwiazd na niebie, na tle sferycznej, anielskiej muzyki, polega w swej istocie na powinowactwie dusz i dochodzi do skutku za sprawą własnego ducha. Tymczasem . . .

— Ja nic nie twierdzę.

— Przepraszam. Jest jeszcze inna, równie piękna hipoteza miłosna, według której każdy czy każda, spotka na ścieżce swego życia wcześniej czy później swój typ, który raczej intuicyjnie niż rozumowo uzna za godny swej miłości. Gdy dojdzie taki związek duchowy do skutku, ludzie nazywają go miłością idealną, od pierwszego wejrzenia, harmonią dusz. Mówi się czasem jeszcze o sercu, lecz o zmysłach — ani słowa. Jakby ta miłość nie była także ich dziełem.

— I słusznie.

— A niesłusznie — zaoponowałem pół żartem, pół serio. — Bo gdyby tylko sam duch decydował o wyborze drogi dla twego uczucia, to miłość byłaby nieomylna i bardzo ułatwiona. Swoją bogdankę, wybrankę swej wielkiej miłości znalazłbyś szybko i sprawnie, jak dobry detektyw, bo nie miałbyś kłopotów z pokonaniem czasu, przestrzeni, materii i z innymi przeszkodami, z którymi musiał się borykać kochanek Maryli i szereg bohaterów zawiedzionej miłości.

— To mi już wygląda na jakąś miłosną telepatię.

— Tak, mniej więcej. Stawiasz sobie np. takie wymagania w stosunku do twej przyszłej najmileńszej, bo ja ciebie perełko już dobrze znam. Moja pierwsza i jedyna musi być i to koniecznie: ładna, zgrabna, dobra, oszczędna, gospodarna, wierna, muzykalna no i . . . niebiedna. Czy nie?

— Przypuśćmy, że tak. No, i co dalej?

— Teraz wzywasz na pomoc swojego ducha od miłości idealnej, czystej, wyborowej i wypędzasz go z domu na zbity łeb w szeroki świat — na poszukiwania.

— Ładnie. Słucham pana.

— Potem, ponieważ rzecz dzieje się pod wieczór przed twoim pójściem na spoczynek, kładziesz się do łóżka z błogim uśmiechem i zasypiasz beztrosko jak niemowlę. A tymczasem twój wierny duch — może mu być na imię Intuicja — szuka i tu i tam. Nazajutz budzi cię dzwonek. To telefonuje twój duch. „Obiekt pożądany przez pana znalazłem. Mieszka w Afryce. Jest córeczką króla Hotentotów. Czy mam złożyć ojcu zadatek?"

— Idiota.

— Nie szkodzi. To przemawia tylko na rzecz mojej tezy miłosnej, w myśl której wybałuszasz w tej chwili swoje ślepia na nasze, urocze, złotowłose vis a vis — to zmysł wzroku, pożerasz niemal tę niebiańską dziewuszkę razem z jej bucikami — zmysł smaku, dobrego smaku, jesteś ciekawy jej słów, które szepcze figlarnie na ucho swojemu sąsiadowi — zmysł słuchu a raczej podsłuchu, już od blisko kwadransa walisz się na mnie całym swoim ciężarem osiemdziesięciu kilogramów żywej wagi, jakkolwiek ławka nasza jest dosyć obszerna. Daruję ci to jednak, bo pchasz się na mnie bezwiednie, z myślą o niej — zmysł czucia, i jesteś coś niecoś podniecony zapachem kwitnących obok kosaćców, który wchłaniasz w siebie namiętnie, gdyż wierzysz, że tak pachnie jej ciało — zmysł powonienia.

O młody faunie! To jest właśnie ta twoja miłość idealna, niebiańska, czysta i niezmysłowa, za którą rozbijasz się daremnie po niebie, a znajdujesz na ziemi opodal, w najpiękniejszej swej postaci, przy pomocy swych zmysłów . . . pięciu.

— Przepraszam — sześciu. Zapominasz, że w sprawach miłosnych istnieje termin — sex appeal.

— Tak. Sex appeal — zmysł szósty, przedziwny i niewytłumaczony, którego obecność wyczuwamy niemal pod skórą, ale określić stosownie nie umiemy. To jest miłosny zew, to jest jakby wabik, fluid ujawniający się na zewnątrz w bardzo subtelnej formie. Oczywiście ma go w sobie zarówno mężczyzna jak i kobieta.

— Ale czy każda?

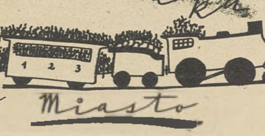
— Otóż to właśnie. Znajdziesz ten zmysł w miłym wyrazie twarzy, w ładnym uczesaniu włosów, w kolorze oczów, spojrzeniu, w uśmiechu, w dźwięku głosu, w linii ramion i nóg, w zarysie piersi i bioder, w sposobie chodzenia, czy ubierania się nawet, znajdziesz w całej postaci, lub w jej szczególe. Znajdziesz go, jeżeli masz dar umiejętnego szukania, ostrzegam cię jednak, że możesz go pilnie szukać i nie znaleźć wcale.. I w tym tkwi sęk.

— Oświadczam ci publicznie, że jakkolwiek twoje wywody są nawet interesujące, nie trafiły mi do przekonania. W twojej ocenie zjawisk życiowych jest dużo chaosu,

Dokończenie na stronie 10-tej

POCIĄG, NIEDZIELA I WARSZAWIACY

Wycieczka za Miasto



Tekst — A. Mur., Ryc. — Sal.

— Czy mamy teraz pociąg?

— To zależy — jaki. Jeżeli chodzi o mnie, to zawsze mam pociąg do kieliszka, nie, przepraszam, do aqua vitae. Najchętniej zamrożonej. Pytasz dlaczego do wódki?! Nie znasz więc odwiecznej prawdy życiowej — in vino veritas. Tak, tak! Na dnie kieliszka leży zaklęta prawda. Piję przez ciekawość, aby ujrzeć nie dno, ale prawdę. Kiedy człowiek podchmieli sobie, kaganiec ogłady i kultury spada z jego duszy. Zupełnie bezwiednie człowiek pokazuje swe prawdziwe oblicze. A że ciekawość jest nadzwyczaj pospolitą cechą ludzką, piją ludziska aby poznać się nawzajem.

— Zdaje mi się, mój drogi, że mimo wczesnej pory usiłowałeś poznać już kogoś. Pewno też dlatego zeszedłeś na temat pijacki. Pytałem cię, kiedy mamy następny pociąg.

— Właśnie mówiłem o pociągu . . .

— Człowieku! chodzi mi o pociąg jako środek lokomocji! Jeżeli nie będziemy mieli następnego w przeciągu godziny, nie spotkamy reszty towarzystwa. Zepsujemy cały weekend.

— Głupi z ciebie pedant! A czymże różni się pociąg od wódki? Z pociągu wysiada się, aby wsiedli następni, a flaszeczkę wypróżniasz, aby dać innym możność picia. Pijąc, z kimś wódkę poznajesz jego charakter, jadąc pociągiem nie tylko dowiesz się z kim jedziesz, ale i ciebie poznają. Bo czyż gromada sardynek wepchnięta w małe blaszane pudeleczko mogłaby się wzajemnie nie poznać?

— Oooooo, jest pociąg! Przestańże bredzić i wsiadaj prędko. Dla ciebie trzeba by było miejsca siedzącego.

Dwaj panowie na wzór zgłodniałych tygrysów w dżungli rozpoczynają gorączkowe poszukiwanie za



łupem. Różnica między tygrysami a dwoma panami była tylko ta, że tygrysy w bezludnej dżungli często nic nie znajdą, natomiast panowie . . . Głupie porównanie, przecież panowie znają boks, dżudżitsu i walki zapaśnicze.

— Panie, do ciężkiej cho . . . , przecież widzisz pan, że nie ma gdzie nawet palca włożyć! Gdzie się pan pchasz?!!!

— Do wódki . . .

— Tu pociąg, a nie knajpa!

— Zgadza się, pociąg a wódka to jedno. Hoooop!

Rozpoczęła się pierwsza runda.

Opisanie dokładnego przebiegu spotkania napotyka na niepokonalne trudności. W zapasach bierze udział kilkadziesiąt osób, bez różnicy wag, wzrostu, sił i płci. Zapaśnicy dzielą się na dwa obozy — pierwszy defensywny znajdujący się już wewnątrz przedziału i drugi ofensywny, forsujący wejście.

I nagle, jak w bezdennym cylindrze czarodzieja, kotłujący się tłum zaczyna znikać w wąskiej czeluści drzwi przedziału. Nigdy nie mówmy „niemożliwe" dopóki nie spróbujemy. — Chór różnogłosych pisków i chrzęst gnących się żeber towarzyszą zamykaniu drzwi przedziału. Zmieścili się wszyscy, a w jaki sposób . . .

— Panie, zejdź pan z mojej nogi!

— Z przyjemnością to zrobię, jeżeli pani bardzo niewygodnie, to zdaje mi się, że pod ławką jest jeszcze wolne . . .

— Cham!

— Histeryczka.

— Antoś! Ujmij się do ciężkiej Anielki za żonom!

— Panie szanowny, to moja żona.

— Współczuję panu.

— Faktycznie, to ona jest wrażliwa na nogi, bo ma odciski na małych palcach.

— O ile nie zgubi ich w takim tłoku, to już do śmierci będzie je miała.

— Antoś, facet cię bajeruje, ale z nóg mi nie zlazł. Jeszcze trochę, a z nerw wyjdę.

— Panie szanowny, zejdź pan jej z tych nóg.

Pokorny głos Antosia ginie w wybuchającej nowej wrzawie.

— Mleko się na mnie leje!

— Trudno, żebym wodę na wekenda wiozła.

— Pij frajerze jak się leje — radzi ktoś z boku.

W jednym kącie nie słychać protestów, ani krzyków oburzenia. Wiek to usprawiedliwia, bo gdy się ma te dwadzieścia lat, a . . . Młody mężczyzna i jeszcze młodsza dziewczyna jakby zrośnięte sjamskie bliźnięta tkwią przygwożdżeni do rogu przedziału. Nawet i w takim tłoku może być przyjemnie, gdy sięgasz tam, gdzie wzrok nie sięga.

Mówią, a raczej przekrzykują się wszyscy na raz. I tak można dowiedzieć się, że Józiek sprowadził sobie małpę, gdy żona była na letniakach, że platynowa piękność naciągnęła na nowe futro kochanka, że odciski pani Antoniowej szczególnie dają się we znaki przed deszczem, że Florci dziecko przyszło na świat w trzy miesiące po ślubie, że Adaś ma złote serce, a Kaziu złoty zegarek, zupełnie jakbyś wypił z wszystkimi bruderszaft i zawarł kieliszkowe braterstwo.

Ścisk był tak wielki, że pot lał się z ludzi strumieniami. I zapewne zgodnie z prawami fizycznymi pot parował, unosił się w górę tworząc czarne chmury. Niebo nie chciało także dźwigać ludzkich wypocin, gdyż z nagle zachmurzonego nieba lunął zwyczajowo przyjęty deszcz niedzielny.

— A nie mówiłam, że odciski bolą mnie na deszcz — zatryumfowała pani Antoniowa.

W tej chwili jęknęła jak zraniona łania. To któryś z rozgniewanych deszczem wycieczkowiczów nadepnął jej na proroczy odcisk.

Wszystko ma swój kres, więc i pociąg podmiejski dobijając do końcowej stacji wyrzuca z siebie wycieczkowiczów. Nie na długo jednak. Nad wieczorem . . .



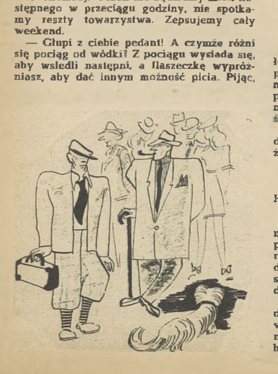
— Panie, czego się pan pcha!

— A co, rezedę będę wąchać!

— Cham! Dziecko pan wypychasz!

Tak, w pociągu wychodzi z ludzi pierwotna natura rządząca się prawem silniejszego. Taki tłok w przedziale lepiej nawet działa jak wódka, bo wywołuje zbiorową psychozę . . . prawdomówności. Dowiesz się kim jesteś i z kim masz przyjemność, albo i nieprzyjemność.

A wieczorem w niedzielę w domu nie znajdziesz w kieszeni zegarka albo portfela, robisz okłady z gulardowej wody, ale jesteś zadowolony. Byłeś na wycieczce. Co prawda wydusili z ciebie w drodze powrotnej „świeże", wiejskie powietrze. Masz jednak pamięć, więc oddychaj przez cały roboczy tydzień pamięcią i czekaj następnej niedzieli.





bo to, że ty znalazłeś prawdziwą miłość przy pomocy pięciu zmysłów i jednego nadzmysłu, to jeszcze nie dowód, abyś chciał nadal utrzymywać, że między kobietą a mężczyzną miłość niezmysłowa nie istnieje. A jak mi wytłumaczysz mój mistrzu ten naoczny fakt, że ona taka anielsko miła, zbudowana jak bóstwo, ta nieznajoma z naprzeciwka, pozwala sobie na flirt a może nawet miłość z takim byleco, z istną poczwarą. Albo tam na ścieżce, patrz, idzie sobie elegancik wcale niczego i prowadzi pod rękę babę, taką bao-babę, jak piec na fortepianowych nogach. Co za dysharmonia.

Mój drogi, wskaż mi u niej ten sex appeal a oddam ci natychmiast rękę mojej przyszłej córki.

Wiem, że będziesz mi zaraz tłumaczył, że to pomyłka zmysłów, którą usunie szczęśliwa reakcja, że to jakiś figiel natury — ładny mi figiel —, że to zły dobór, nieszczęśliwy los, czy też po prostu wyjątek.

— Tak, właśnie wyjątek — wtrąciłem — wyjątek, który potwierdza regułę. Jeżeli pięć milionów faktów stwierdzają istnienie miłości prawdziwej, realnej, zmysłowej, to te pięć tysięcy wypadków, które usiłujesz mi przytoczyć mówią wyraźnie, że aktorzy tej rzekomej miłości, albo jeden z nich jest człowiekiem pomylonym, chorym od urodzenia, albo jest spekulantem. Zresztą — zrozum jeszcze jedno. Miłość prawdziwa nie musi sięgać koniecznie po piękno fizyczne. Istnieje jeszcze piękno duchowe. Poza tym w samej naturze występuje wyraźnie dążność do kompensaty, do wypełnienia istniejących luk. Np. dla wad jednego osobnika stwarza natura przeciwwagę w postaci dużych zalet osobnika drugiego. Brzydota biegnie za urodą, głupota goni za mądrością. To zjawisko obserwujemy bardzo często w miłości i to w miłości, której nie można nazwać nieszczęśliwą.

— Dość! dość! dość! Jestem pobity na łeb, na szyję. Poddaję się. Sam mówiłeś, że kochasz się szczęśliwie, od znajomych zaś słyszałem, że twoja młodziutka żona, jest przystojna, bajecznie zgrabna i mądra.

— To się pokrywa z prawdą.

— ??? — Gratuluję.

— Proszę cię, tylko bez głupich ‚ordynarnych kawałów, — odciąłem się ze złością.

— Przepraszam, nie zjedz mnie. Wpadłeś przecież sam w dołek, który wygrzebałeś własną ręką. To się może zdarzyć nie tylko tobie. Zresztą nie jest tak źle. Wiem coś niecoś także o twoich sprawkach. Jedna z miłych moich koleżanek mówiła mi niedawno, że pomimo brzydoty męskiej, którą godnie reprezentujesz . . .

— Skończ już z tem, skończ — bezkopytkowy źrebaku i spójrz lepiej na niebo i patrz co się dzieje.

Ostatnie promienie słońca zalały niebo czerwoną strugą, zapowiadając pogodę na dzień następny. Niebo przybierało stopniowo barwę purpury, złota, roztopionej miedzi, srebra i sinej stali. Pod drzewami zniknęły już długie ostre cienie a do parku wchodził powoli mrok. Ławki sąsiednie pustoszały. My i zakochana para trzymaliśmy się ich jeszcze wiernie.

Zakochana para. Czy zakochana? Może to tylko złudzenie. Bo widzę, że u schyłku dnia termometr ich miłosnych uczuć miast wznieść się, spada gwałtownie. Ona już nie uśmiecha się tak zalotnie, a on nie stara się być tak natarczywym jak z początku. Nagle między nimi dochodzi do krótkiej ale ostrej sprzeczki, po której piękna Ona zakrywa śliczne oczęta i zaczyna cicho płakać, zdaje się szczerze. A on? Jak to on. Zagrzył ze złością wargi, warknął jakieś cierpkie słowo, podniósł się szybko z ławki i odszedł nie oglądnąwszy się nawet. Bez pożegnania.

Jestem bardzo uczuciowym, a serce moje w żadnym wypadku nie może pozwolić, aby działa się krzywda kobiecie, która w dodatku jest młoda, ładna i tak pięknie płacze. Lecz w akcie mego, najzwyklejszego ludzkiego miłosierdzia ubiegł mnie ten zdrajca, mój t. zw. przyjaciel . . . Nim zdecydowałem się podejść i obetrzeć łzy tej biednej, cierpiącej istoty, on był już przy niej.

Nie była tym strwożona ani zdziwiona. Tylko podniosła powoli wilgotne jeszcze oczy i spojrzała. O te oczy! Zrozumiałem ich rajską wymowę i to czarnowłose źrebię co mnie ubiegło chyba też zrozumiało.

A potem uśmiechnęła się, rozchylając swoje drobne usteczka, jak gdyby powiedzieć chciała: — Dawnom na ciebie czekała i jestem gotowa.

A potem? Widziałem, jak objął ją swym mocnym ramieniem i wpił się ustami w jej usta, jak z jej omdlałej dłoni wysunęła się rękawiczka, jak . . .

Potem cicho odszedłem, gdyż byłem oto świadkiem narodzin miłości wielkiej, bez zastrzeżeń, od pierwszego wejrzenia.

I. KONCERT SYMFONICZNY FILHARMONII KRAKOWSKIEJ

Inauguracyjny koncert symfoniczny nowego sezonu koncertowego Filharmonii Krakowskiej według afiszowych zapowiedzi miał przynieść R. Wagnera Uwerturę do opery Śpiewacy norymberscy, następnie wspaniały Koncert fortepianowy Nr. 1 Es-dur Fr. Liszta, wreszcie na finał potężny twór symfoniki — J. Brahmsa Symfonię czwartą e-moll, ostatnią w symfonicznym szeregu twórczym kompozytora. Niestety! Jak zwykle los lubi płatać figle wszelkim imprezom artystycznym o charakterze mniej lub więcej uroczystościowym, tak i tu — niedyspozycja pianistki Krystyny Roesner musiała spowodować w ostatnich niemal chwilach zmianę programu. Liszta koncert fortepianowy musiał z konieczności odpaść. Zastąpiono go Szuberta symfonią (drugą) t. zw. Niedokończona H-moll (nazwa stąd, że dwie części kompozytor wykończył, trzecią jedynie naszkicował).

Taki układ programu koncertowego — z rekompensatą czy bez — nie odbiega wyraźnie od przyjętego dotychczas, w ubiegłych sezonach szablonu, co dobitnie zapowiada, że dotychczasowa linia wytyczna aktywności Filharmonii Krakowskiej nie ulegnie żadnym zasadniczym zmianom, że przyświecać jej będą i w zainaugurowanym sezonie te same cele, które przyświecały działalności ubiegłych sezonów.

Introdukcyjna uwertura Wagnera brzmiała niezwykle czysto i poprawnie, podkreślając zasadnicze momenty odpowiednio, co w sumie ryczałtowej złożyło się na całość mile przesłuchaną i przyjętą.

Niedokończona Schuberta, zwłaszcza jej część pierwsza pobrzmiewa wstrząsającymi akordami tragizmu, przestylizowanego w doskonałej formie. Ten tragizm monumentalny w swej głębi przywodzi na myśl i wolą o analogię z tragedią starożytnych Greków. Te same bodaj elementy składowe — apolliński i bakchiczny, skojarzone w przedziwną harmonię, składają się na momenty prawdziwego piękna artystycznego. Druga część — znowu jakby kompozytor zapatrzył się na tragedię grecką — stara się swym śpiewnym, jakby kojącym tematem przysłonić, osłabić wrażenie części pierwszej. Jakże różna w charakterze jest ta symfonia od pierwszej symfonii Schuberta. W pierwszej — uśmiech, radość życia — czar poetycki. Kontrast drugiej. Orkiestra Filharmonii Niedokończoną wykonała wspaniale. Może przewspaniale. — Z rozmachem pełnym świeżości. Jakby Niedokończona należała do żelaznego kapitału orkiestry, w każdym szczególe umiejętnie opracowanego. Przeżywało audytorium momenty wzniosłego uniesienia, co w konsekwencji objawiło się burzą oklasków.

To nieprzeciętne przeżycie muzyczne kojarzyło się z następnym, również wzniosłym, również potężnym. Symfonia e-moll J. Brahmsa — clou twórczości muzycznej kompozytora — pełne głębi duchowej, pełne mocy twórczej, ujętej w karby doświadczenia i umiejętności. Orkiestra stanęła przed dość skomplikowanym problemem do rozwiązania, ale dzięki wysiłkom i doskonałości rozwiązała go w całej pełni należycie, zasługując na istotnie rzeczywistą pochwałę. — W pierwszej części — Allegro non troppo — podkreślono epiczny charakter tematu pierwszego, przesiąkającego całą część, by zabrzmieć z mocą w codzie, w tej potężnej codzie, którą zaliczają do najpotężniejszych tworów symfonii. Drugą część, czystość brzmienia, a trzecią lotność cechowała. Czwarta część — potężne wariacje we formie ciaconny — dobyła moc tragiczną.

Egzamin inauguracyjny dla orkiestry wypadł wyśmienicie. Skład orkiestry ubiegłego sezonu uległ co prawda niewielkim zmianom. Widzi się kilka nowych twarzy. Przez te konieczne zmiany zasadnicza fizjognomia orkiestry pozostała taka sama, a tym samym i jej charakter i jakość taka sama, co nas, miłośników muzyki, napawa radością, bo praca w zwyż nie ulegnie opóźnieniom.

Koncert odbył się w wieczornych godzinach dnia powszedniego. Niewątpliwie był ograniczony w czasie, co pozbawiło nas nadto, co poniekąd nie pozwala na całkowite wyżycie się koncertowe. Cierpi trochę na tym i orkiestra, bo owacje muszą ulec koniecznym skrótom. Czy stale przeniesione będą koncerty na dnie powszednie? Nie wiemy, jak czynniki organizacyjne zadecydowały. Jednak wyczuwać się dawał trochę może nieco inny nastrój, niż w przedpołudnie niedzielne. Nastrój — in plus.

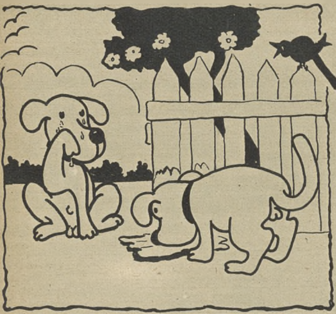
Inauguracja nowego sezonu koncertowego, lubo nie miała urzędowo charakteru świątecznego, nastrój a la świąteczny sam jakoś z siebie wykiełkował. Sala przepełniona doborową publiką. Bywalcy koncertowi w komplecie. Bilety wysprzedane. Dodatkowych krzeseł mnóstwo dostawiono. Atmosfera wzniosłego napięcia. Wchłanianie produkcyj i przeżywanie ich. I to wewnętrzne zadowolenie, malujące się na twarzach i dobywające się z rozmów podczas przerw.

Dr SL 2.





KĄCIK KARYKATURZYSTY



PIESKI

— *Czemuż płaczesz tak rzewnie, kolego?*

— *Bo, na tym płotku moja narzeczona napisała, że mnie już nie kocha...*

Rys. Jan Warzeszkiewicz — Kraków

•

— Wczoraj mój narzeczony padł przede mną na kolana.

— A nie mówiłam ci zawsze, że u was posadzki są zanadto szklące.

SZACHY

KĄCIK SZACHOWY NR. 29

Problem Nr. 19

T. A. Krishnamachariar (I nagr. Hindu 1933/4)
Czarne: Kf4, Gg3 i h7, piony: d7, e6, f2, f7, g7 (8)
Białe: Kb8, We3 i f8, Gc1 i f5, Sd6 i f1,
piony: c2, h3, h5 (10)
3-chodówka 10+8=18
Mat w 3 posunięciach

Rozwiązanie pozycji z partii Nr. 19

1 . . . S—f3!! 2. K—g3 (inaczej ginie hetman) H—g5 3. K×f3 S—g1 mat!

Partia Nr. 28

Białe: Keres — Czarne: Richter

grana w turnieju o mistrzostwo Europy w Monachium w r. 1942.

Angielska gra cztero-skoczkowa.

1. c2—c4 e7—e5	28. Kf2×f3 Kc5×c4
2. Sb1—c3 Sg8—f6	29. Wh4—h7 Wg8—f8
3. Sg1—f3 Sb8—c6	30. g2—g4 Kc4×c3 [13])
4. d2—d4 e5×d4	31. Kf3—e4 c7—c5
5. Sf3×d4 Gf8—b4	32. Ke4—d5 c5—c4
6. Gc1—g5 h7—h6	33. e3—e4 [14]) Kc3—b4
7. Gg5—h4 g7—g5 [1])	34. g4—g5 c4—c3
8. Gh4—g3 d7—d6	35. Wh7—h2 Wf8—c8
9. Wa1—c1 Sc6×d4	36. Wh2—c2 b6—b5
10. Hd1×d4 Gc8—f5	37. f4—f5 a7—a5
11. h2—h4 [2]) Ke8—d7! [3])	38. Kd5×d6 [15]) Kb4—c4
12. Wc1—d1 [4]) Sf6—e4	39. e4—e5 b5—b4
13. Hd4—e5 Gb4×c3+	40. Kd6—d7 Wc8—a8
14. b2×c3 Se4×g3	41. e5—e6 f7×e6
15. f2×g3 [5]) Gf5—g6	42. f5—f6 a5—a4
16. h4×g5 [6]) Hd8×g5 [7])	43. f6—f7 b4—b3
17. He5—f4 Wa8—e8	44. a2×b3 a4×b3 [16])
18. Wd1—d5 Hg5×f4	45. Wc2×c3 Kc4×c3
19. g3×f4 b7—b6	46. g5—g6 b3—b2
20. Ke1—f2 [8]) h6—h5	47. g6—g7 b2—b1 H
21. e2—e3 h5—h4	48. f7—f8 H Hb1—b7+
22. Wd5—g5! [9]) Gg6—e4	49. Kd7×e6 Wa8—a6+
23. Gf1—e2 [10]) We8—g8!	50. Ke6—f5 Hb7—d7+
24. Ge2—g4+ Kd7—c6	51. Kf5—f4 Wa6—a4+
25. Wg5×g8 Wh8×g8	52. Kf4—g3 Hd7—d3+
26. Wh1×h4 Kc6—c5 [11])	53. Hf8—f3 Wa4—a8
27. Gg4—f3 [12]) Ge4×f3	i czarne wygrały po kilku ruchach.

Uwagi:

[1]) Sposób traktowania otwarcia ze strony Richtera jest śmiały i oryginalny.

[2]) Keres także gra ostro. Spokojniejszym i solidniejszym było 11. h3.

[3]) Ogromnie niespodziewany ruch i dokładnie obliczony.

[4]) Jeśli 12. G—e5 to G—c5 13. H—d2 G×f2+ 14. K×f2 S—g4+ po czym S×e5.

[5]) Białe niepotrzebnie pogarszają swoją pozycję pionów w nadziei otrzymania ataku. Dobrym było: 15. H×g3 H—e7 (—f6, —f3) 16. e3.

[6]) 16. c5 H—e7.

[7]) O wiele lepszym było: 16 . . . h×g5 17. W×h8 H×h8 18. H×g5 H×c3+. Po posunięciu w partii pion h pozostaje słabym.

[8]) Nie 20. f5 z powodu c6.

[9]) Grozi 23. f5 i W—g4.

[10]) Przez W—g4 mogły już białe zdobyć piona h. Czarne odpowiadają od razu przeciwgroźbą na g2.

[11]) Piona c już nie można obronić.

[12]) Próba obrony piona c pośrednio przez 27. f5 (K×c4, G—f3, d5, K×e4, d×e, W×e4, K×c3, W—e7) spełzłaby na niczem po 27 . . . W—g5!

[13]) Jeśli czarne przeszkadzają wtargnięciu króla na e4 przez 30 . . . d5, wówczas nastąpiłoby bardzo silne 31. e4!

[14]) Lub 33. K×d6 K—d3 34. K—e7 W—c8 35. K—d4 W—c5.

[15]) Lub 38. K—d4 W—c5 39. K—d3 W—c4 40. g6 f×g 41. f×g W—c7 42. K—d4 W—c5 43. g7 W—g5 44. W×c3 W×g7.

[16]) Gdyby wieża na b3 nie była zaatakowaną partia byłaby remis. To tempo rozstrzyga o wyniku partii.

— Jeśli się kiedykolwiek ożenię, to tylko z bogatą niewiastą, abym mógł zaspokoić wszystkie jej zachcianki.

•

— Jak ty szybko otrzymałeś rozwód!

— Bo sędzia był pierwszym mężem mojej żony.

•

— Żona mnie zdradziła, nie przeżyję tego.

— Uspokój się, niektórzy mężowie żyją z tego.

•

Pan Lemberski zostawił w tramwaju butelkę wódki. Zgłasza się więc natychmiast do remizy i pyta czy nie oddano zguby.

— Nie, odpowiadają mu, ale do komisariatu zaniesiono jegomościa, który ją znalazł.

•

Pani Jędzowska jest nieco złośliwą kobietą. Niedawno musiała się poddać operacji kamieni żółciowych. Po pewnym czasie lekarz spotyka jej małżonka.

— No, cóż panie Jędzowski, chyba pan zadowolony, że tak pięknie udała się operacja?

— Owszem panie konsyliarzu, tylko że kamienie pan usunął, ale żółć niestety została.

•

Rzecz dzieje się w przepełnionym tramwaju. W kącie siedzi wielokrotnie już karany więzieniem włóczęga-żebrak. Nagle wstaje i kłania się uprzejmie, odstępując swoje miejsce starszemu panu.

— Proszę bardzo, panie sędzio — mówi z grzecznym uśmiechem — wszak pan także nieraz dopomógł mi do tego, żebym ja siedział.

•

— Jak panu idzie interes?

— Jak granie na flecie.

— Co to znaczy?

— No, bo jak jedną dziurę zatkam, to się druga otwiera.

•

Kawa to strasznie głupi napój. Najpierw się ją pali, ażeby była czarna, potem dodaje się mleka żeby była biała, miesza się z cykorią, by była gorzka, a potem się dodaje cukru aby ją osłodzić. Na koniec grzeje się ją, a potem dmucha się, by ostygła.

•

— A proszę mi jeszcze powiedzieć, kiedy się pan najbardziej poci?

— Przy placeniu honorarium, panie doktorze.

•

Pan Michaś Jankowski zwiedza muzeum. Zatrzymuje się przed jakąś rzeźbą pod którą widnieje data: MDCCXXII.

— Co za komiczne imię — powiada — pewnie jakiś obcokrajowiec.

•

— Widziałeś? Ten koń chciał ugryźć mnie w głowę!

— Ma węch. Poczuł siano . . .

•

Sędzia (do włóczęgi czarno zarosłego):

— Twoje sumienie musi być tak czarne jak twoja broda.

Włóczęga: — No, jeżeli mamy sądzić według brody, to pan sędzia wcale nie ma sumienia, bo nie ma brody...

•

Ulicznik wymachując gwałtownie na nadjeżdżającego dorożkarza:

— Hej, panie, ma pan czas?

— Mam! — odpowiada dorożkarz zatrzymując konie.

— No, to nie jedź pan tak prędko — odpowiada ulicznik i znika.

•

— Po czemu jaja?

— Po 3 złote sztuka, paniusiu, a nadbite po 2.50 zł.

— Dobrze kobiecino, nadbijcie mi ich dziesięć.

•

Podróżny do właściciela hotelu:

— Ogłasza pan, że w tym hotelu jest centralne ogrzewanie. Jakoś tego wcale nie spostrzegłem.

Właściciel hotelu: — Owszem, szanowny panie, ogrzewa się pokój środkowy, a do następnych są drzwi otwarte.

•

Andzia pozwala się całować tylko swoim przyjaciołom.

— No, to w takim razie można z pewnością twierdzić, ze nie ma całkiem nieprzyjaciół.

•

Dyrektor teatru wścieka się:

— To nie do wytrzymania! Odnoszę wrażenie, że jestem w domu obłąkanych!!

Komik robiąc poważną minę odzywa się:

— Z tą tylko różnicą, że tamtejszy dyrektor jest człowiekiem normalnym.

•

Stary duży ścienny zegar z łoskotem spada na ziemię. Pani Pyskalska, która przed chwilą pod nim na krześle siedziała, przerażona odzywa się:

— Szczęście, żem przed chwilą wstała i odeszła stamtąd, byłby mi wprost spadł na głowę.

Zięć: — Tak, tak ja zawsze mówiłem, że ten zegar się spóźnia.

•

— Czy dobrze podziałały mężowi pani pijawki?

— Dziękuję panie doktorze, bardzo dobrze. Pierwsze zjadł na surowo, następne jednak musiałam mu usmażyć.

•

Między malarzami:

— Czyż nie jest to najlepszy obraz jaki namalowałem?

— Mój Boże! Nie martw się tym.

•

— Kiedy przyjechałem do Krakowa miałem na sobie tylko łachmany, a teraz mam kamienicę.

— Ja i łachmanów nie miałem.

— Jakto?

— Bo urodziłem się w Krakowie.

•

— Taka pani młoda, a ma takie dorosłe dzieci? Zapewne wcześnie brała pani ślub?

— Nie, o szóstej wieczorem.

ŚWIAT SIĘ ŚMIEJE



— *Czy mam pani ten kaganiec odesłać, czy też pani sama go będzie nosić?*

Berliner Illustrierte Zeitung



— *Co dają dziś wieczór?*

— *Na górze „Romeo i Julia", na dole „zimne nogi z galaretą!"*

Kölnische Illustrierte Zeitung



— *Głos jest jego całym majątkiem.*

— *Nic nie szkodzi, ubóstwo nie hańbi.*

Die Woche



Sufler w budce: — Niczego moja najukochańsza, niczego przede mną nie możesz ukryć!

Die Grüne Post

U dołu:
W domu gminnym składa nowowybrany „komes" przysięgę, że zawsze będzie przestrzegał praw gminy.

Na prawo:
W życiu codziennym zajmuje się komes swym gospodarstwem, zupełnie tak samo jak inni chłopi w jego gminie.







Powyżej:
W dawnym zamku Turopolie, który obecnie jest domem gminnym, znajduje się stara skrzynia. W skrzyni tej przechowuje się wszystkie dokumenty gminy. Po wyborze otrzymuje „komes" klucz od tejże skrzyni.

TUROPOLIE OBIERA SWEGO BURMISTRZA

U dołu:
We wsi Turopolie, w Kroacji, co roku odbywają się według prastarej tradycji, wybory burmistrza, zwanego tamże „komesem". Po wyborze przedstawia się nowy komes mieszkańcom wsi, w wielkiej sali domu gminnego. Licznie zgromadzeni wieśniacy pozdrawiają go oklaskami.



Poniżej:
Wieczorem, po wyborze odbywa się uroczystość ku czci nowowybranego „komesa". Młodzież wsi Turopolie wykonuje prastare tańce ludowe.

Fot: Dabac (W. i P.)



Niech żyje — „komes!"